ZAGADKI XX WIEKU

DZIWNE PLEMIĘ z pływającej WSI

...Zaczęło się polowanie na olbrzymią płaszczkę.

Uparcie, już czwarty dzień z kolei kierował Pierre swą motorówkę do szerokiej zatoki u wyspy Aladdina. Był wczesny ranek. Dwaj półnadzy Malajowie, współtowarzysze Pierra, siedzieli jak murowani — jeden na dziobie łodzi, drugi u silnika. Zatokę okalała wysoka, zielona ściana równikowej dżungli. Nagle młody Francuz aż krzyknął z emocji. W odległości piętnastu metrów od brzegu kołysało się na falach osiem dziwnych łodzi! Wbrew oczekiwaniu warkot silnika nie spłoszył tajemniczych żeglarzy. Pierre był pewien — to są Mokenowie, plemię, którego dotychczas nikt właściwie nie zbadał, plemię żyjące stale na łodziach wśród labiryntu wysp i wysepek Archipelagu Mergui na Morzu Andamańskim. Odkrycie i opisanie tego plemienia stało się pasją życia Pierra Iwanowa, francuskiego geografa, Rosjanina z pochodzenia.

Kilka minut wnikliwie obserwował Pierre splecione z palmowych liści dwuspadkowe daszki nad łodziami. Kto się kryje pod nimi? Nagle — choć nie słychać było żadnego okrzyku przestrachu czy ostrzeżenia — Mokenowie całym tłumem wyskoczyli z łodzi wprost do wody i błyskawicznie popłynęli ku brzegowi. Po kilku minutach wszyscy zniknęli w dżungli.

C. d. na str. 3

Jutro NA KSIĘŻYC

Zgodnie z zapowiedzią start pojazdu kosmicznego APOLLO—17, który ma dostarczyć na Księżyc amerykańskich lunonautów, przewidziany jest na dzień 6 grudnia br.

Dowódcą trzyosobowej wyprawy jest E. Cernan, a członkami załogi R. Evans i H. Schmitt. Na razie trenują pilnie na ziemi, w terenie zbliżonym do księżycowego. Wszystkie operacje, które wykonają na naszym naturalnym satelicie, muszą być przećwiczone dziesiątki razy. Na piersiach lunonautów widoczne są kamery telewizyjne i fotograficzne. 21 listopada trzej lunonauci uczestniczyli na przylądku Kennedy'ego w pozorowanym starcie APOLLO-17.

Fot. CAF.

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 97 (2193) 5 grudnia 1972 r. Cena 50 gr

Jedna z wielu uczniowskich spółdzielni

A JEDNAK SIĘ DAŁO...

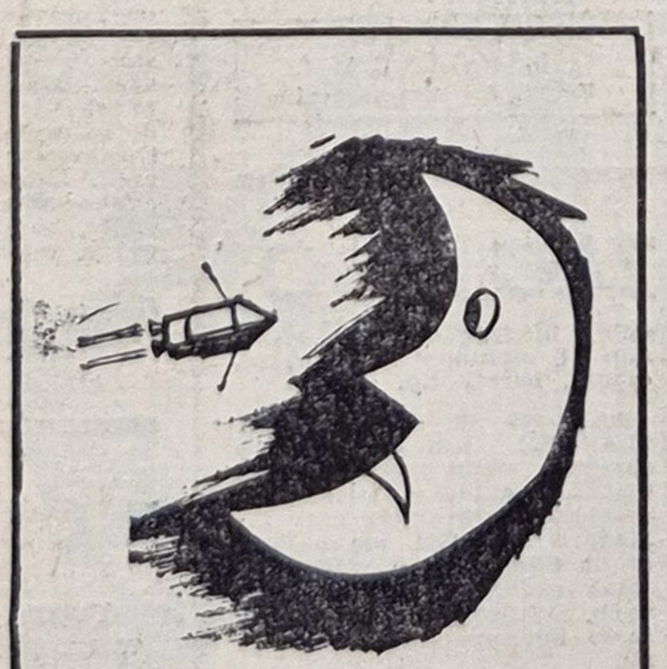

Księżyc: — Już lecą, znowu będą mnie łaskotać.

Takich wygód nie znajdziecie w żadnym innym zakładzie fryzjerskim.

Foto: K. Adamowski

Był już późny wieczór, kiedy chłopcy z Państwowego Zakładu Wychowawczego w Mławie dotarli wreszcie do miasta. Wracali z tygodniowego biwaku, pierwszego w swoim życiu.

— Fajno było, chłopaki — powiedział Marek. Ale gdyby tak częściej, co tydzień...

— Coś ty — odezwały się głosy. — Nie da się, za dużo kłopotów. I transport trzeba załatwić, i sprzęt przewieźć...

— Ale gdybyśmy mieli rowery, to można by co niedziela chociaż do lasu wyskoczyć — Marek nie dawał za wygraną.

— Stary, nie bądź taki marzyciel! Gdybyśmy mieli, to by się dało, ale nie mamy, więc o czym gadać. Zakład za biedny.

C. d. na str. 7

11 LAT dla Ciebie

MY · 1972 · ŚWIAT · KRAJ · MY · 1972 · ŚWIAT · KRAJ

Mówi dyrektor Centralnej Składnicy Harcerskiej hm. PRL Edward Pękalski:

„Toczy się dyskusja o rynku młodzieżowym. Wydaje się, że potrzebna jest duża centrala handlowa, w której młodzież zaopatrywałaby się we wszystko. I właśnie CSH jest najodpowiedniejszym miejscem do rozwinięcia takiego handlu. Mamy nie tylko 14-letnie doświadczenia, lecz pracujemy na innych zasadach niż handel „dorosły". Bo przecież wszystko co produkujemy, czy sprzedajemy — dostosowane jest do potrzeb młodzieży. Myślimy też oczywiście o naszym kliencie: co jeszcze jest mu potrzebne dla jego rozwoju, czym lepiej zaspokoić jego głód wiedzy i rozrywki, jak zadowolić jego pragnienie nowoczesności, sprawnego działania.

Przed wielu laty, jako pierwsi zaczęliśmy sprowadzać artykuły politechniczne. Od tego czasu zrobiliśmy ogromny postęp: świat jednak chce się bawić coraz ciekawiej, inteligentniej, młodzież szuka obecnie nowych zabaw i okazji do zmagań umysłów, sprzętu do zaspokojenia wielkiego głodu intelektualnego..."

CHWAŁA POJEMNYM PÓŁKOM

Ma CSH w kraju 104 składnice, 14 magazynów oraz 8 oddziałów terenowych, które tymi składnicami i magazynami rządzą.

Co leży na półkach w składnicach CSH? Ponad 2 tysiące różnych rzeczy! Bo CSH sprzedaje nie tylko to, co sama produkuje, lecz wiele rzeczy wyprodukowanych przez inne gałęzie przemysłu, a także posiada bogaty asortyment przedmiotów pochodzących z importu. Na przykład: wszystkie elementy politechniczne pochodzą z NRD lub ze Związku Radzieckiego.

Każda centrala ma oprócz tego prawo zakupienia od miejscowych producentów tego wszystkiego, co miejscowej młodzieży wydaje się nieodzowne do życia sportowego, organizacyjnego i towarzyskiego.

Są więc te półki rzeczywiście pojemne: sprzedaje się z nich towary za sumę prawie 600 mln zł rocznie.

NAJNOWSZE NOWOŚCI

CSH, mimo braku dewiz, zakupuje jednak trochę nowości. Całe szczęście, że np. Związek Radziecki udostępnia nam swoją produkcję — a jest ona niezmiernie ciekawa — bo byśmy nie mieli w czym się wyżywać. Taki np. „Radiokonstruktor modułowy", czyli zestaw części elektronicznych dla hobbystów-radiowców to pozycja wprawdzie nie tania (ponad 400 zł), ale można z tego zbudować aż 42 układy elektroniczne!

OPRÓCZ TEGO Z NOWOŚCI POLECAM:

● **„Kijew" I, II i III — nowe zestawy tranzystorowe do montażu radiowego.**

● **Kutry, roboty, modele samolotów — również do składania, i to z napędem.**

● **2 nowe kompasy: z NRD i krajowy, pierwszy dla wytrawnych, drugi dla najmłodszych wędrowców.**

● **Zestaw „ratunkowy" do naprawy przedmiotów z tworzyw sztucznych. Pochodzi z NRD i zawiera wszystko, co potrzebne do klejenia tworzyw — czyli kleje, żywice syntetyczne itp.**

● **Nowe paliwo, opracowane specjalnie do radzieckich silników modelarskich.**

● **Miniaturowy akumulatorek cynkowy, rzecz bardzo poszukiwana przez radiowców (dopiero jednak na wiosnę).**

● **Nowe modele szybowców, namioty 10-osobowe z brezentem miedziowanym dobrze chroniącym przed deszczem, nowe rodzaje finek, dalsze nowości z grupy modeli plastikowych, między innymi samolot Jumbo-jet i przypuszczalnie Concorde, „stare" samochodziki miniaturowe (tzw. match-box) i wiele, wiele innych.**

NIE MA ŻYCIA BEZ CSH

CSH nie zawsze ma pieniądze na to, o czym mówił dyr. Pękalski, szczególnie brak jej dewiz. Pokazywano na przykład w telewizji zabawki — urządzenia japońskie: takie jakieś układanki, płotki do ustawiania dla przedszkolaków, ale w specjalny sposób, bo inaczej się nie ustawi, różne wymyślne elementy do dopasowywania i tak dalej. CSH nie ma środków na zakup czegoś takiego za granicą, więc szuka w kraju i... rzadko znajduje, bo nie najlepsza jest ta nasza produkcja zabawek i przedmiotów rozrywkowych. Dyrektor ma jednak rację: jeżeli coś się ma zmienić na korzyść, to tylko poprzez CSH. Ona jak nikt inny potrafi współpracować z klientem w wieku od 6 do ...106 lat, a to dla rozwoju rynku młodzieżowego znaczy wiele. Nie mamy w kraju drugiego takiego handlu wyłącznie młodzieżowego. Dlatego CSH wymaga rozwoju, trzeba jej nowych środków na interesujące zakupy, nowych zakładów do produkcji ciekawych przedmiotów i sprzętu, nowych powierzchni sklepowych i magazynów, nowego oddechu organizacyjnego. Podległość Centrali Handlu Artykułami Papierniczymi i Sportowymi nie wyszła naszej harcerskiej Centrali na zdrowie. A klient czeka na nowe artykuły, na ciekawsze koncepcje „techniki dla wszystkich", na nowe sklepy CSH i na pełne ich zaopatrzenie. Będzie wkrótce reorganizacja handlu, powstanie więc zapewne wyodrębnione przedsiębiorstwo handlowe dla potrzeb młodzieży. Oby kierowała nim właśnie CSH!

Opracował:
R. GAŁUSZKA
Foto: K. Adamowski

Co nam się śni?

„Inteligentne" zabawki zmuszające do myślenia od najmłodszych lat.

Co nam się marzy?

Nowe rodzaje sprzętu obozowego i campingowego, tanie i ogólnie dostępne, a przy tym lekkie. Tanie piłki. I takież narty. I łyżwy dla każdego. I coś dla duszy: dużo gier zręcznościowych. I coś dla minikarowców: kółka do minikarów! Zwycięzca tegorocznych zawodów miał kółka sprowadzone prywatnie z ZSRR...

Czego się domagamy?

Szerokiego asortymentu części zamiennych oraz materiałów, o jakich się nikomu nie śniło, np. wspaniałych folii samoklejących, szkła organicznego, listew w szerszym niż dotąd wyborze, oraz śrubek i zakrętek, zawleczek i zatyczek, kółek, kwadracików i trójkącików, wszystko jedno z czego, bo nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

Centralo, sprowadź!

MILIONY ZA PÓŁTORA ZŁOTEGO

Obliczono, że średni koszt wyprodukowanego przez CSH przedmiotu wynosi... półtora złotego! Niewiele? Właśnie w tym rzecz! Mało kto w kraju chce tak tanio produkować i gdyby 4 zakłady posiadane przez CSH oddać pod zarząd innych przemysłów — wkrótce zabrakłoby w handlu drobnych i tanich przedmiotów dla młodzieży. A przecież to właśnie one stanowią podstawę zaopatrzenia „klientów z rodzicielskiej dotacji". Nie wolno więc dopuścić do zaprzepaszczania taniej produkcji. Przykład Kętrzyna jest tego najlepszym dowodem: tamtejszy zakład produkował mundury i wielkie namioty, gdy zaś przekazano go innemu resortowi — zaniechał całkowicie produkcji „harcerskiej". Trzeba było na gwałt uruchamiać szycie mundurów w innym łódzkim zakładzie, jeszcze podległym CSH.

ZAKŁAD W ŁODZI, o którym mowa, szyje mundury, chusty, peleryny itp. Produkuje pasy mundurowe, sprawności, emblematy, lilijki, klamry itp.

ZAKŁAD W BYDGOSZCZY daje nam krajki, sznury funkcyjne, bieliznę obozową, spodnie i mundury żeglarskie, czapki, berety itp.

ZAKŁAD W JAWORZYNIE ŚLĄSKIEJ jest producentem sprzętu obozowego: ławek, szafek, regałów i stelaży do namiotów (które robi inny zakład, w Rudniku, nie należący do CSH) oraz sławnych łóżek-kanadyjek, czyli drewnianych składaków, które skutecznie konkurują z metalowymi.

ZAKŁAD W NIWCE (woj. katowickie) szyje najtańsze w kraju skafandry, mundurki, kurtki, płaszcze instruktorskie.

W sumie za sto milionów złotych otrzymujemy co roku z tych zakładów masę takich harcerskich drobiazgów.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Uwaga, wszyscy, którzy mają zamiar poczynić zakupy w sklepach CSH w okresie od dziś do 31 grudnia!

Wiele artykułów — szczególnie politechnicznych, (m. in. radioodbiorniki do składania, czołgi do montażu, komplety Piko-Dot, zestawy modeli lotniczych itp.) — będzie do końca roku sprzedawanych o

50 i 40 procent taniej!

Również mundury instruktorskie damskie i męskie podlegają takiej samej obniżce cen!

DZIWNE PLEMIĘ

C. d. ze str. 1

Pierre powoli okrążył opustoszałe łodzie i przybił do brzegu. Wyszedł na niewielką plażę i zwinąwszy ręce w trąbkę zawołał po malajsku w stronę zielonej ściany dżungli: „Przychodzę jako przyjaciel! Wyjdźcie, przyjaciele!" Ale odpowiedzią było grobowe milczenie. Nawet ptaki przestały na chwilę wydawać swe głosy. Więc Pierre i trzej Malajowie położyli się na piasku tak, by odciąć tajemniczemu plemieniu drogę do łodzi i postanowili czekać. Ale minęła godzina, dwie, a z zarośli nikt się nie pokazał. Ta zabawa w chowanego mogła się ciągnąć nie wiadomo jak długo.

Geograf wpadł na pomysł, by odesłać motorówkę z Malajami. Może gdy ostrożni koczownicy wodni przekonają się, że pozostał tu sam, bez broni, nawiążą z nim jakiś kontakt. Szybko wyładowano na brzeg skrzynkę z ryżem, konserwami, sucharami i kilka sztuk materiału na podarunki. Potem Malajowie odpłynęli na sąsiednią wyspę, gdzie mieściła się baza ekspedycji.

PERŁA NA DŁONI

Już po upływie pół godziny z dżungli wyszedł mężczyzna w sile wieku, okryty skąpo kawałkiem mokrej tkaniny. Podszedł do Pierra, pozdrowił w łamanym malajskim języku i spytał czego tu szuka.

Długo trwało przekonywanie, że Pierre po prostu skupuje perły. Moken uparcie kręcił głową i twierdził, że tylko kilku ludziom oddaje perły. złowione przez plemię, a Pierra nigdy wśród nich nikt nie widział. Za perły dostaje od malajskich kupców noże, tkaniny i... maski płetwonurkarskie.

Pierre poczęstował mężczyznę konserwą i sucharami. Ten zjadł posiłek ze smakiem. Pierwsze lody zostały przełamane. Potem Pierre powiedział, że chciałby zamieszkać w plemieniu i poczekać, aż Mokenowie nałowią pereł. Dał mężczyźnie kilka otwartych puszek z konserwą i woreczek sucharów. Moken wziął do ręki dłoń Pierra i położył na niej dużą, piękną perłę. Potem krzyknął coś melodyjnie. Z dżungli wysypało się po chwili z krzykiem kilkudziesięciu Mokenów. Pokój był zawarty.

DWA MIESIĄCE W KABANGU

Prawie dwa miesiące spędził Pierre Iwanow w kabangu — pływającej wsi Mokenów — i przez ten czas dość dokładnie poznał ich życie i obyczaje. Na łodziach, kręcących się w labiryncie Archipelagu Mergui mają Mokenowie nawet psy. Ale poza tym nie hodują żadnych zwierząt domowych, zupełnie nie uprawiają roli, nie mają sieci, ani wędek. Całe życie spędzają na wodzie. Z rzadka tylko przybijają do brzegu, głównie dla zbudowania lub naprawy łodzi, względnie zebrania przez kobiety dziko rosnących owoców. Starannie unikają wszelkich obcych, umieją doskonale maskować swe łodzie w nawisłych zaroślach przy brzegach wysp lub wśród wielu koralowych skał. W łodzi mającej do dziesięciu metrów długości zamieszkuje od pięciu do ośmiu członków plemienia.

Co dzień widział Pierre, jak kobiety Mokenów wychodziły po odpływie na rafy, płycizny i troskliwie zbierały tam ostrygi oraz inne małże, które są głównym pożywieniem wszystkich mieszkańców kabangu. Mężczyźni natomiast łowią perły, trepangi i różnorodne muszle.

POLOWANIE NA PŁASZCZKĘ

Któregoś dnia w spokojny i ustalony tryb życia pływającej wioski wkradł się jakiś niepokój. Mężczyźni wychodzili z wody na łodzie, coś krzyczeli, dzieci płakały, szczekały psy. Wyglądało na to, że Mokenowie szykują się do odparcia wroga: do długich bambusowych żerdzi, służących do popychania łodzi, szybko przywiązywano na końcach metalowe ostrza. Okazało się, że dostrzeżono olbrzymią płaszczkę, rybę ważącą kilkaset kilogramów, która przypomina swym wyglądem wielką flądrę. Zaczęło się prawdziwe polowanie z nagonką. Łodzie okrążyły zdobycz strasząc ją poruszaniem żerdzi i kierując ku brzegowi. Na płytkiej wodzie kilka ostrzy na raz zanurzyło się w ciele ofiary. Ale gigantyczna płaszczka nie dała się tak łatwo pokonać. Dopiero po kwadransie walki Mokenowie wywlekli ją na brzeg. Zaczęły się przygotowania do wielkiego obżarstwa. Całe plemię będzie syte, można dziś nie zbierać małż, można nie łowić pereł...

Ale jutro, gdy wszystko zostanie zjedzone, Mokenowie znów popłyną dalej, by nurkować i zbierać pożywienie. Bo przecież od tego zależy ich istnienie, tajemniczy byt tych prawdziwych gospodarzy czterystukilometrowego pasa niezamieszkałych wysp i wysepek Archipelagu Mergui.

Oprac. JAN STYKOWSKI

Rys. H. J. CHMIELEWSKI

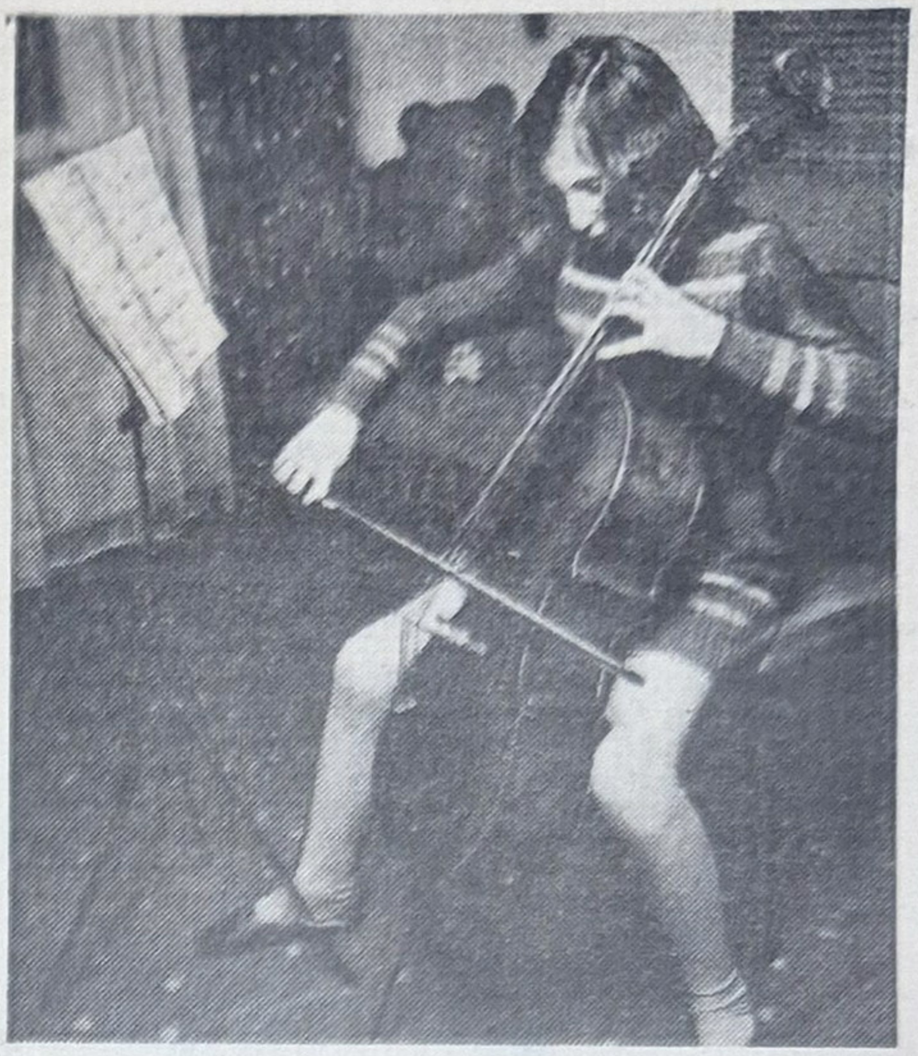

WANDA
z wiolonczelą

Wanda mieszka w Warszawie i mogłaby chodzić do szkoły podstawowej, którą ma tuż pod bokiem. Jednak wstaje codziennie już o szóstej rano, by za piętnaście siódma wyjść z domu. Szkoła, do której chodzi jedenastoletnia Wanda Głowacka znajduje się bowiem daleko, w innej dzielnicy.

Na boisku jak wszędzie biegają dzieci, lecz gdy wejdzie się do środka budynku słychać głos fortepianu, skrzypiec, klarnetu. Jest to szkoła muzyczna. O tym, kto do niej trafia mając sześć czy siedem lat decydują rodzice. Później sprawa zaczyna się komplikować, nie wszystkich muzyka interesuje — zwłaszcza na co dzień, traktowana jako obowiązek. Trzeba poznawać skomplikowaną mowę nut, godzinami ćwiczyć na instrumencie, a oprócz tego — jak we wszystkich szkołach — uczyć się innych przedmiotów.

Wandzia jest uczennicą piątej klasy i gra na wiolonczeli.

— Ja tylko nie lubię przyrody — zwierza się. — Trzeba zapamiętywać takie szczegóły, które mnie wcale nie ciekawią!

— A jaki stopień masz z tego przedmiotu?

— Piątkę... — dziewczynka jest trochę zakłopotana, próbuje się usprawiedliwiać. — Nie lubię robić doświadczeń. Nawet fasola mi nie wykiełkowała!

— A co zamierzasz robić w przyszłości?

— Kiedyś chciałam być dyrygentem. Myślałam, że on nic nie robi, tylko słu-

C. d. na str. 5

Wiolonczela należy do grupy instrumentów smyczkowych stanowiących w orkiestrze symfonicznej najliczniejszą, a także i najważniejszą grupę.

Ma cztery grube struny, jest znacznie większa od skrzypiec, ale nie tak ogromna jak kontrabas. Długość instrumentu wraz z nóżką, którą grający opiera o podłogę wynosi 1 metr 12 cm.

Wiolonczela została wprowadzona do zespołów symfonicznych najpierw jako instrument dający podstawę harmoniczną orkiestrze. Dopiero w XIX wieku została uznana za instrument, na którym także można grać solo nie mniej pięknie niż na skrzypcach; wtedy też zaczęto komponować koncerty na wiolonczelę z orkiestrą. Już wcześniej jednak komponowali dla niej wybitni twórcy. (a.g.)

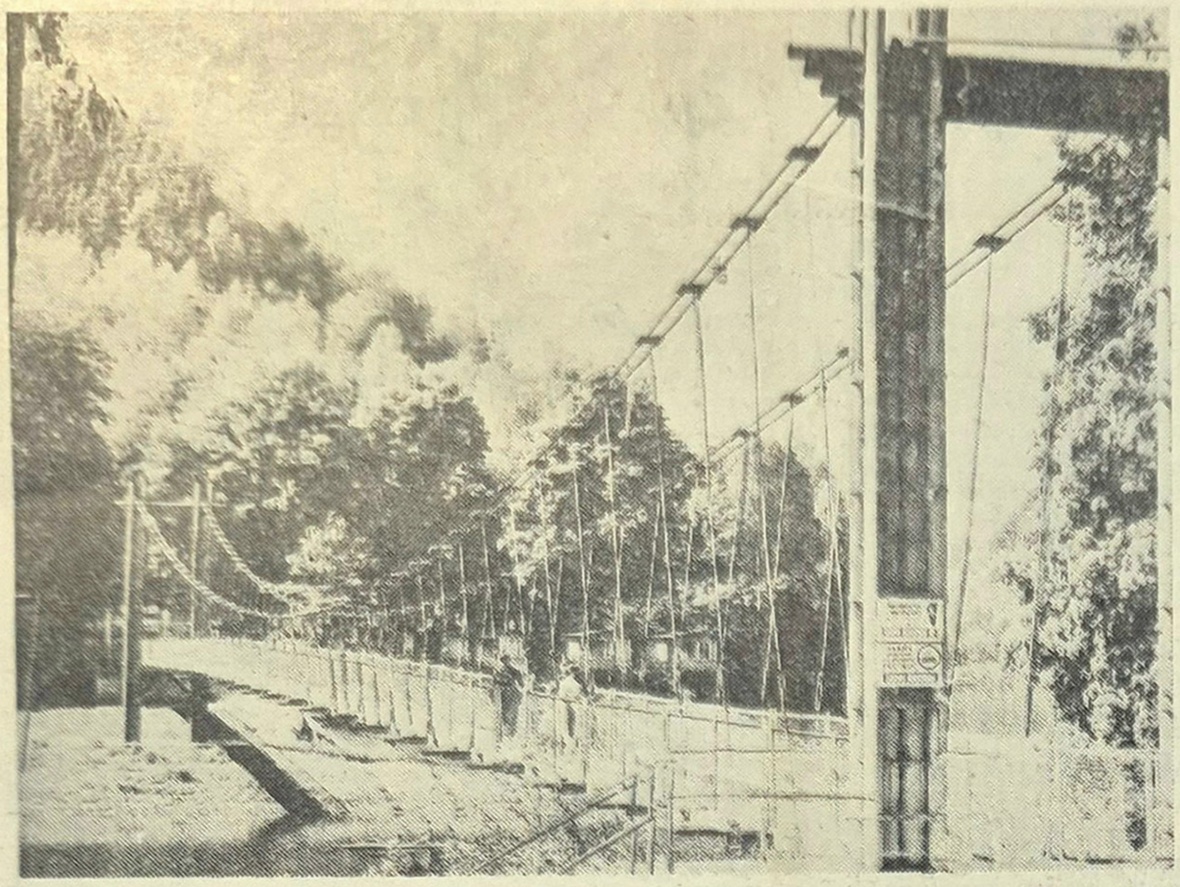

Tak wygląda wiszący most zaprojektowany przez inżyniera Kazimierza Gałajdę. Ten właśnie znajduje się w Zagórzu Śląskim. **Foto: J. Cupek**

8 GÓRNICZYCH MOSTÓW

Pan inżynier Gałajda pełniący obecnie funkcję zastępcy dyrektora do spraw zaplecza Przedsiębiorstwa Budowy Kopalni Rud Miedzi w Lubinie w górniczy stan wchodził mając lat kilkanaście i przez lat kilka „fedrował" w kopalni „Dymitrow" w Bytomiu.

Po skończeniu studiów na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, pracował w Rybnickim Okręgu Węglowym przy budowie kopalni „Zofiówka" i „Borynia".

Od 1966 roku jest górnikiem Miedziowego Zagłębia. Jego pierwsza praca przy miedzi, to ratowanie zatopionych szybów w Lubinie Głównym. Ratowanie, czyli drążenie w zamrożonym uprzednio szlamie, wymiana uszkodzonej obudowy, wiele skomplikowanych, często niebezpiecznych prac. Następnie pracował na tak zwanych „szybach zachodnich", gdzie również pracy nie można było nazwać spokojną. Tam bowiem drążono w czerwonym piaskowcu, a jest to skała miękka, pod wpływem wody przechodząca w maź.

Od momentu rozpoczęcia pracy w Lubinie inżynier Kazimierz Gałajda w ramach domowego wypoczynku zaczął projektować wiszące mosty, o których przeczytacie obok.

Chłopiec uczepiony ojcowskiej ręki patrzy na burą, skłębioną wodę, która podchodzi niemal pod samą chałupę.

San przybrał i teraz ta nie przekraczająca zwykle stu metrów szerokości rzeka, tworzy rozlewisko łączące dwie wsie — prawobrzeżne Siedliska i leżący po drugiej stronie Nozdrzec. Teraz Siedliska to już „koniec świata"; za wioską ciągną się dzikie Bieszczady: lasy pełne wilków, nieprzebrane haszcze, góry. Świat jest po drugiej stronie rzeki, która niesie na spienionym grzbiecie wyrwane z korzeniami drzewa, dachy zdarte z chałup, stogi siana, belki i to wszystko, co się tylko uda zabrać zalanym brzegom. Takim zapamiętał sobie San Kazimierz Gałajda, zapamiętał rzekę, która — kiedy przyjeżdżał na wakacje do domu — odgradzała go od Siedlisk, niedostępną czyniąc ojcowską chałupę.

Oto dzień wigilii. Student Krakowskiej Akademii Górniczo - Hutniczej pokonał pociągiem, wąskotorową kolejką i autobusem szmat drogi, żeby ten tradycyjny świąteczny wieczór spędzić w rodzinnym gronie z najbliższymi. Cóż, w górach śniegi stopniały, rzeka przybrała, niesie teraz płaty kry i nikt za żadne skarby nie przeprawi się po niego łódką.

U Gałajdów czekali na syna. Wyszedł ojciec przed chałupę — ich dom to ten najbliżej rzeki — pokrzyczeli do siebie przez wodę, złożyli sobie życzenia. Święta spędził Kazik u kolegów w Nozdrzcu...

Późną jesienią 1965 roku — miał już Kazimierz Gałajda ukończone studia, miał za sobą pracę w kopalniach „Zofiówka" i „Borynia", gdzie głębił szyby. Sposobił się właśnie do podjęcia pracy w Lubinie, kiedy zagnało go do rodzinnej wioski. Zebrali się wtedy gospodarze w ojcowskiej chałupie i po małym poczęstunku przystąpili do rzeczy.

— Jesteś jedynym z naszej wsi, który ukończył nauki. Dużo świata widziałeś i czytać musiałeś dużo. Sam widzisz jak żyjemy, wiesz, że mostu nam trzeba. Podobno w świecie budują mosty na linach wiszące. A u was w kopalniach są liny stare, zużyte. To może sprzedaliby niedrogo, a ty byś nam z nich zbudował most...

WSPÓLNA PRACA

Z początkiem sierpnia 1966 roku koło ZMS przy Szybie Głównym Kopalni Miedzi w Lubinie rozbija w Siedliskach obóz. Jeszcze przedtem, od lutego począwszy, górnicy-spawacze według rysunków inżyniera Gałajdy wykonywali elementy konieczne do konstrukcji. Materiałem były — jak przewidzieli mieszkańcy Siedlisk — zużyte liny oraz metalowe rury przeznaczone na złom, których bez żadnej zapłaty pozwoliła użyć dyrekcja kopalni. Wszystko to teraz zwiezione, złożone nad brzegiem Sanu czeka na montaż. Oczywiście wszystko trzeba wykonać ręcznie, o dźwigach nie ma nawet mowy. Jedynie pobliski PGR użycza do pomocy traktora...

ZMS-owcy-górnicy pracują na trzy zmiany. Zainstalowali na miejscu budowy elektryczne światło i nocami do pomocy przychodzą mieszkańcy odgrodzonej od świata wioski. Nie jest sprawa łatwa z tą pomocą. Ludzie są zmęczeni, sierpień jest przecież okresem żniw. Toteż każdej niedzieli z ambony kościoła w Nozdrzcu nawołuje do pomocy ZMS-owcom miejscowy proboszcz.

Niemal codziennie przyjeżdża na budowę swoim perkoczącym „Komarem" listonosz — Jan Starzak. Wiesza pustą torbę na wierzbie i zabiera się do betonowania fundamentów. Jemu to przejście skróci drogę z listami o kilkanaście kilometrów!

Pewnego dnia, chyba gdzieś, w połowie sierpnia, czyjaś anonimowa dłoń przymocowuje do lin rozpiętych nad Sanem duży plakat z wypisanym tekstem: **„Dziękujemy Wam za Waszą pracę".**

GÓRNICZY MOST

Jest pierwsza połowa września 1966 roku. Bystry wiosną nurt Sanu ledwie pełga teraz po kamienistym dnie, bo lato było suche. Rzekę w poprzek jej biegu przecina długi cień. Jest to cień mostu, który połączył oba brzegi rzeki. Projektant — starym obyczajem stoi pod mostem, bo za chwil kilka tam na górze przetną wstęgę i rozpocznie się próba wytrzymałości.

Orkiestra stroi instrumenty. Słychać też warkot silnika samolotu — to inżynier Henryk Sienkiewicz, górnik i pilot w jednej osobie zwozi ostatnich gości. Z kilkunastu okolicznych wiosek ściągnęły tłumy mieszkańców, ale oto gwar zmieszanych głosów cichnie...

Pierwszy przechodzi „górniczym mostem" I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Lubinie — towarzysz Erazm Orzechowski. Za nim — gospodarze powiatu Brzozów, a ich śladem rzuca się napierany od tyłu tłum. Konstruktorowi mocno łomocę serce, a w pewnej chwili jest niemal pewien, że czapka na zjeżonych włosach unosi mu się do góry ze strachu.

— Czy ta zawieszona na linach kładka wytrzyma? Ale teraz żadna siła nie jest już w stanie zatrzymać rozentuzjazmowanego tłumu. Jest to przecież pierwszy most w historii Siedlisk!

PAN NIE MA PRAWA ODMÓWIĆ!

Tuż po oddaniu przejścia w Siedliskach — zwrócił się do Dyrekcji Budowy Kopalni Miedzi w Lubinie dyrektor PGR-u w Siedliskach-Gdyczynie. Obiecał za pracę ZMS-owcom zafundować obóz wypoczynkowy za 40 tysięcy złotych! Historia się powtórzyła: inżynier Gałajda wykonał projekt, dyrekcja pozwoliła użyć starych rur i lin. ZMS-owcy z miejscową ludnością most zbudowali.

W kilka dni po oddaniu tego drugiego mostu przyjechał do Lubina następny dyrektor, tym razem stadniny koni w Studnie. W jednym z podległych mu majątków, mieszkańcy, kiedy im dzieci podrosną do wieku szkolnego — rzucają pracę i wynoszą się w inne strony. Zabudowania nowe kosztowały dziesiątki milionów złotych. Ziemia tu dobra, ale przed kilku laty, w czasie przeprawy przez San, łódka pełna dzieci zatonęła uderzona krą! Wszyscy to pamiętają...

W błocie, w deszczu, tamtej jeszcze jesieni budowano przejście, które gotowe było w sam dzień „Barbórki". Tam właśnie, w dniu otwarcia mostu jeden z mieszkańców, stary, siwy mężczyzna padł inżynierowi Gałajdzie do nóg.

A potem przyjechała do Lubina dziesięcioosobowa delegacja z miejscowości Wybrzeże koło Dubiecka.

— Pan nie ma prawa nam odmówić! Pan wie co to znaczy, mieszkać za Sanem...

Tych górniczych mostów zbudowano już osiem. Wszystkie projektowane były przez Kazimierza Gałajdę z życzliwości dla ludzi, bowiem inżynier nie przyjmował żadnych honorariów. Większość budowali górnicy — ZMS-owcy w czasie swoich wypoczynkowych urlopów.

WIESŁAWA MROCZEK

KN

Czy to się wyklucza?

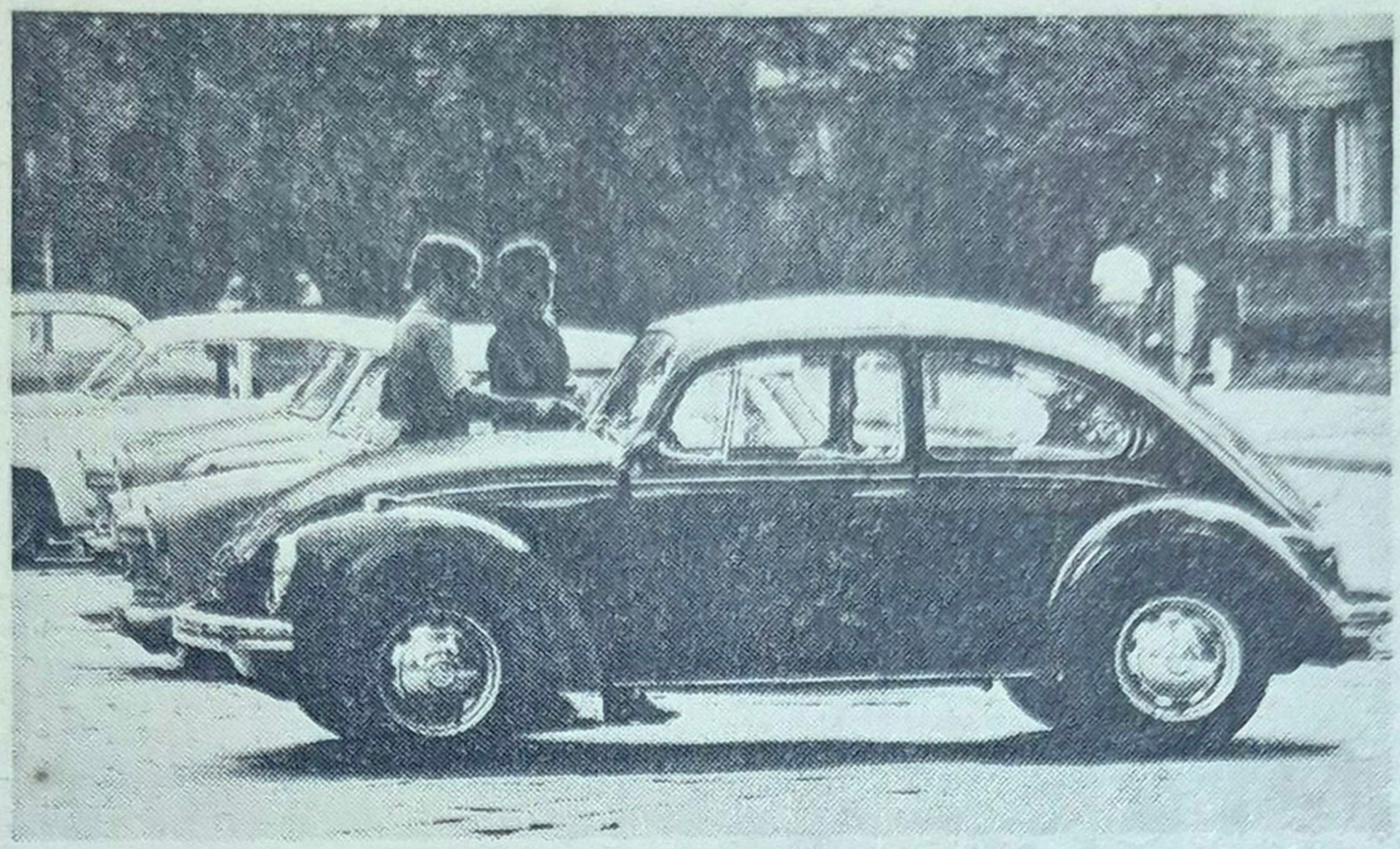

Czy dyscyplina, porządek, posłuszeństwo wykluczają myślenie, własne zdanie, pomysły? Na ten temat dyskutujemy już od kilku tygodni. Oto następny zestaw wypowiedzi Waszych kolegów:

NAWYK KONIECZNY

Z Edkiem w ogóle się nie zgadzam. Jest on pesymistą i myśli źle — wręcz szkodliwie. Bo czyż Einstein, Maria Skłodowska czy Łukasiewicz dokonaliby swych dzieł, gdyby myśleli takimi jak on kategoriami?!

Edek napisał o regułach przez kogoś wymyślonych i narzuconych. Wydaje mi się, że taką podstawową naszą regułą jest... szkolny dzwonek. Wyobraźmy sobie, że w momencie kiedy ów dzwonek oznajmia początek lekcji, ktoś z nas wybiera się właśnie na przerwę. To chyba normalne, że musimy się komuś podporządkować. Naszym obowiązkiem i nawykiem koniecznym jest posłuszeństwo. Oczywiście nie to tzw. „ślepe", lecz posłuszeństwo wobec tych, którzy mają rację.

Ola O. — Warszawa

WIECZNA ZALEŻNOSC

Zawsze będzie się od kogoś zależnym. W domu od rodziców, w szkole od nauczycieli, w pracy od osoby wyżej postawionej służbowo.

Alek z Kożuchowa

POSŁUSZEŃSTWO MYŚLĄCE

Posłuszeństwo obowiązuje w sprawach związanych z porządkiem ogólnym, we wszystkich tych sytuacjach, gdzie warunkiem powodzenia jest podporządkowanie się.

Np. żołnierz, który idąc na patrol wykonuje rozkaz, musi być zdyscyplinowany, ale walka z wrogiem wymaga od tego zdyscyplinowanego żołnierza wykazania się jeszcze pomysłowością i myśleniem.

„Abawa"

MOŻNA COŚ ZMIENIĆ

Często się zdarza, że mamy zastrzeżenia do szkolnych poleceń i zarządzeń. Jest to przecież pewien rodzaj dyktatury! Najlepiej by było, gdyby zapanował inny ustrój szkolny — pewien rodzaj demokracji, tzn. żeby rada pedagogiczna wydawała zarządzenia w porozumieniu z uczniami.

Elżbieta

SPRZYMIERZENIEC MYŚLENIA

Tylko zespołowa praca która będzie wykonywana pod kierownictwem mądrej i rzeczywiście doświadczonej osoby, może dać wyniki i nie wykluczy myślenia. Wprost przeciwnie, będzie jego największym sprzymierzeńcem.

Sasza

NIE POZWOLĘ SOBIE DYKTOWAĆ

Życie udowadnia, że na posłuszeństwie nikt jeszcze nie zyskał. A posiadanie własnego zdania doprowadziło wielu do osiągnięcia celu.

Drażni mnie każde upomnienie typu: „bądź grzeczny! siedź prosto! zachowuj się ładnie! ucz się!"

„Ucz się! Nic innego nie masz do roboty!" — rozkazuje mój ojciec i natychmiast zaczyna mi mówić o swoim dzieciństwie trudnych warunkach etc..

Nie wierzę, żeby w innych domach sytuacja była lepsza. Moi koledzy też boją się „starych" i bez przerwy słuchają takich jak ja nakazów i rozkazów. Gdyby tak „starzy" posłuchali kiedyś naszych rozmów! My bowiem bez przypominania wiemy, że trzeba wkuwać, aby w życiu się urządzić, mieć zawód, samochód, forsę. Dlaczego nie? Mam przecież swój własny rozum i wiem, co chcę osiągnąć.

Brat mojego kolegi nie chciał iść do LO, ale rodzice mu kazali, więc musiał. Teraz w tamtym domu nie można po prostu wytrzymać, wciąż są awantury, że Wojtek ma 11 dwójek. A przecież on nie chciał uczyć się w LO, tylko w Technikum Samochodowym.

Ja nie pozwolę sobie dyktować, nie będę posłuszny, będę się buntował i robił tylko to, co mnie wydaje się słuszne i zgodne z moim porządkiem myślenia. Tylko tak postępując, osiągnę swój cel.

Robert

A jakie jest Twoje zdanie?

- Czy można być zdyscyplinowanym i myślącym jednocześnie?
- Czy posłuszeństwo przeszkadza posiadaniu własnego zdania?

Zastanów się! Napisz! Jak zawsze czekamy na Twój list!

Klub Nastolatków
Oprac. R. JABŁOŃSKA

WANDA z wiolonczelą

C. d. ze str. 3

cha pięknej muzyki i macha rękami. Przekonałam się, że to nieprawda! Często oglądam na drugim programie telewizji koncerty i dobrze wiem, że dyrygent musi bardzo dużo umieć. Musi znać poszczególne instrumenty i wiedzieć, co od każdego z osobna i wszystkich razem należy wymagać, tak aby tworzyły harmonijną całość. Inaczej nie mógłby prowadzić kilkudziesięcioosobowej orkiestry. Ja będę grać na wiolonczeli w koncertach symfonicznych, chciałabym też występować solo.

— Czy to znaczy, że wiolonczelę lubisz najbardziej?

— Właściwie lubię wszystkie instrumenty z wyjątkiem kontrabasu. Pewnie dlatego, że go wcale nie znam, a jest taki wielki... Gram też na fortepianie.

— Jakiej muzyki najchętniej słuchasz?

— Symfonicznej. Lubię, jak muzyka jest potężna, bogata, kiedy występuje dużo różnych instrumentów. Podoba mi się koncert e-moll Chopina, lubię muzykę Mozarta i Bacha.

— A co sama grasz ostatnio?

— Koncert Bacha.

— Czy dużo pracujesz nad swoją wiolonczelą?

— Najmniej dwie godziny dziennie, zaraz po powrocie ze szkoły. Potem odrabiam lekcje, czasem pomagam mamie.

— A kto stroi twoją wiolonczelę?

— Ja sama!

— Masz dużo zajęć, pewnie niewiele czasu ci zostaje na zabawę, na spotkania z koleżankami?

— No tak, niewiele, a najczęściej wcale. Często muszę rezygnować z zabawy, bo trzeba ćwiczyć...

— Czy gdyby ci rodzice zabrali instrument i nie zgodzili się, abyś grała...

— To niemożliwe! — wykrzykuje Wanda. — Nie oddałabym mojej wiolonczeli!

*

No i proszę! Wielu dorosłych i wiele młodzieży współczuje „tym biednym zapracowanym dzieciom", dźwigającym pudła ze skrzypcami lub ćwiczącym długie godziny na różnych instrumentach. Są jednak tacy, którzy pokochali muzykę i zamierzają się jej poświęcić całkowicie, tak właśnie jak Wanda.

A. GRZYBOWIECKA

TELEFON ZAUFANIA

STANISŁAWA PLATÓWNA 27 Rys. Jan Rocki

STRESZCZENIE DO ODCINKA 27

Stefan dowiaduje się, że jest dzieckiem adoptowanym. Ma żal do rodziców, szczególnie do ojca. Uważa, że ojciec sprzeniewierzył się ideałom, w imię których walczył w czasie wojny. Ucieka z domu i zakopuje na grobie poległego partyzanta bojowe odznaczenia ojca. Wałęsając się po mieście poznaje Joasię. Mówi jej o ucieczce z domu. Joasia nie pochwala jego czynu, ale chłopiec jej się podoba. Zaprasza go na spacer.

WIECZÓR był chłodny, na czystym niebie pokazały się pierwsze gwiazdy, zza małej strzępiastej chmurki wychynął wąski sierp księżyca.

„Pierwsza kwadra" — pomyślał odruchowo Stefan.

Wstrząsnął się. Ławka, na której siedzieli była wilgotna, od ziemi, od krzaków ciągnął chłód. Joanna podniosła kołnierz swetra, wtuliła weń podbródek.

— Chodźmy — powiedziała zerkając na zegarek — już późno.

Stefan potrząsnął głową.

— Jeszcze chwileczkę — powiedział — ja chciałem, ja muszę... dziękuję ci Joasiu, jesteś naprawdę klawa, bez ciebie nie wiem, co bym zrobił, otworzyłaś mi oczy na wiele spraw.

— Przesada! — zaśmiała się Joanna. — Sam byś wszystko zrozumiał, może tylko odrobinę później. Chodźmy.

Stefan wstał, zrobił kilka kroków i nagle zatrzymał się.

— Nie, nie pójdę — oświadczył stanowczo — muszę jeszcze coś załatwić.

— Oszalałeś? O tej porze?

— Muszę — powtórzył uparcie — nie wiem dlaczego, ale muszę.

Joanna spojrzała na chłopca z niepokojem.

— Przynajmniej powiedz mi co zamierzasz? Chyba masz do mnie zaufanie.

Stefan nieśmiało wyciągnął rękę, ujął palce dziewczyny, ścisnął mocno.

— Jesteś wspaniała — szepnął — naprawdę wspaniała! Nie sądziłem, że są na świecie takie dziewczęta... Ja w każdym razie pierwszy raz spotkałem kogoś, kto... Powiem ci. Muszę iść na cmentarz, wiesz po co.

Joanna zerwała się z ławki. Nie okazała zdziwienia, nie zadawała pytań. Oświadczyła po prostu:

— Idę ż tobą.

Stefan chciał protestować, nie dała mu dojść do słowa.

— Musisz mnie słuchać! — potrząsnęła energicznie głową. — Jestem od ciebie starsza.

— O cztery miesiące! Staruszka.

Nie odpowiedziała, otworzyła zamszową konduktorkę, zaczęła w niej grzebać. Po chwili mruknęła:

— Psiakość, mam mało forsy, tylko dwadzieścia złotych. No nic, może wystarczy.

— Na co?

— Na taksówkę, głuptasie. Na Sępolno kawał drogi, a zresztą zmarzłam na kość, nie mam ochoty złapać grypy.

Stefan już nie protestował, w gruncie rzeczy był zadowolony, że pójdzie na cmentarz w towarzystwie Joanny. Zawsze we dwoje raźniej, a zresztą Joanna... Joanna! Teraz był skłonny uwierzyć w to co setki razy oglądał w kinie, w telewizji, o czym czytał w książkach. Jeszcze wczoraj byłby wzruszył ramionami, wykrzywił się lekceważąco, po co mu dziewczyna, sympatia, sentymentalne bzdury? Męska przyjaźń, owszem, ale przyjaźń z dziewczyną? Czuł się zupełnie idiotycznie, nie poznawał sam siebie. Bo niby dlaczego raptem ma ochotę dotknąć policzka Joanny, pogładzić jej włosy, uścisnąć dłoń?

Zerknął nieśmiało na Joannę. Czyżby się domyślała? Patrzyła tak jakoś dziwnie... Może i ona? Zawstydził się i burknął niespodziewanie szorstko:

— Chodźmy.

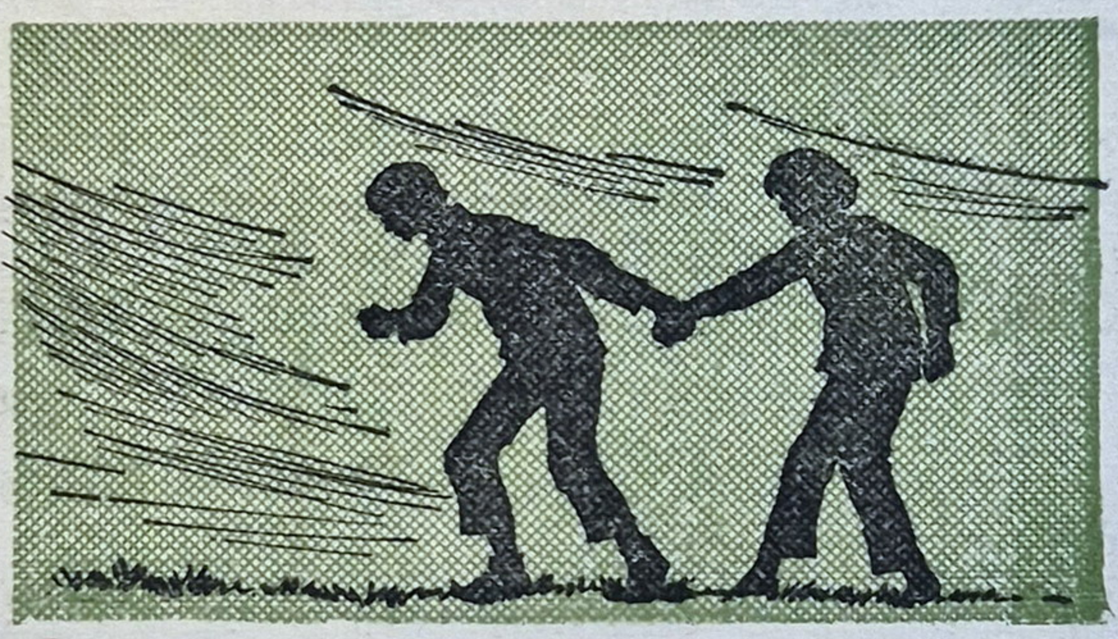

Gdy siedzieli w taksówce, przyszło mu na myśl, że znów zaciągnął nowy dług. Ileż ich miał do spłacenia? Pan Antoni, Klipa, teraz Joasia. Wszyscy troje coś mu ofiarowali, w czymś pomogli, choć nie zawsze chodziło o pomoc materialną.

„Jednak naprawdę mam szczęście" — pomyślał.

Wysiedli z taksówki, skręcili dla niepoznaki w boczną ulicę, nie chcieli iść prosto na cmentarz, by nie wzbudzać podejrzeń. Już i tak kierowca przyglądał im się nieufnie, nie pasowali do siebie, dziewczyna dobrze ubrana i prawie obdarty chłopak.

Brama była oczywiście zamknięta, musieli przejść przez ogrodzenie.

Przez moment Joanna zawahała się, widać pożałowała swoich pięknych jasnych spodni, ale to trwało tylko chwilę. Przy pomocy Stefana obyło się bez większej tragedii, tylko na jednym kolanie pozostała brudna smuga.

Trzymając się za ręce zaczęli iść w głąb cmentarza. Może to sprawiła obecność Joanny, może cicha, bezwietrzna pogoda, może księżyc oświetlający drogę, ale Stefan czuł się dużo raźniej, wcale nie myślał o niezwykłości miejsca, zdawało mu się, że idą razem na spacer. Znacznie szybciej niż poprzedniej nocy odnalazł mogiłę Ponurego, już po paru minutach zobaczyli przed sobą ciemne ramiona wysokiego krzyża.

— To tu — szepnął Stefan.

Puścił rękę Joanny, powoli, na palcach podszedł do mogiły. Pamiętał doskonale to miejsce, w którym zakopał odznaczenia. Z lewej strony, obok płyty z napisem. Niestety, nie miał przy sobie żadnego narzędzia, obejrzał się bezradnie, namacał jakiś patyk czy korzeń. Spulchnioną ziemię przekopał łatwo, zbyt łatwo, ubił ją przecież dokładnie, udeptał obcasem. Może to nie to miejsce? Nie, na pewno należało szukać z lewej strony. Odrzucił patyk, darł teraz ziemię palcami, czuł jak mokra i zimna oblepiała mu ręce, nie ustawał jednak, pracował jak szalony. Nic z tego! Podniósł się z kolan, spojrzał na Joannę. Stała po drugiej stronie grobu, patrzyła na niego z napięciem, cała sprężona w sobie, jakby szykująca się do skoku.

— Nie ma! Zniknęły! Ale przecież tu je zakopałem, mogę przysiąc!

Objął głowę rękami, z jękiem ścisnął skronie.

— Co ja teraz zrobię? Gdzie będę szukał? Przepadły, na pewno przepadły! — powtarzał z rozpaczą.

— Nie przepadły, nie... — usłyszał ochrypły głos i mimo woli cofnął się zaskoczony i przerażony.

Z krzaków wyszedł dość obdarty mężczyzna i zbliżał się krok za krokiem. Joanna krzyknęła cicho. Stefan jednym susem znalazł się przy niej, objął ramieniem. Obojgu mocno biły serca, czuli głuche, niespokojne łomotanie. Kim był ten człowiek? Co robił o tej porze na cmentarzu? Może należało uciekać, może miał złe zamiary? Ale w głosie nieznajomego Stefan nie wyczuł groźby, jego ton był uspokajający, dobroduszny. I wiedział coś o zniknięciu odznaczeń. Mężczyzna był już zupełnie blisko, Stefan zobaczył jego małe, uśmiechnięte oczka, ginące w fałdach zmarszczek. Mimo to jeszcze nie dowierzał, jeszcze nie pozbył się lęku. I czuł dygotanie Joasi.

— Kim pan jest? — spytał ledwo wydobywając głos ze ściśniętego gardła. — Czego pan chce od nas?

— A taki jeden — mężczyzna machnął lekceważąco ręką — nazywają mnie Loniek.

Roześmiał się głośno, nie bacząc na powagę miejsca i zmrużył chytrze oczka.

— Niech ktoś powie, że Loniek nie ma nosa! — powiedział z przechwałką. — Wiedziałem, że tu przyjdziesz, nie przypuszczałem tylko, że tak szybko. Szykowałem się na parę dobrych nocy. Fajno jest, cholernie nie lubię parkować między nieboszczykami. Niby oni spokojni, krzywdy nie zrobią, a przecież głupio, no nie?

— Pan mnie zna? — Stefan był zupełnie osłupiały.

— Znam, nie znam, przedstawieni sobie nie byliśmy. Znam jednego doktora, który kota dostał na punkcie poszukiwań. „Muszę go znaleźć" — powiedział — a on zawzięty jak pies na kości.

— Doktora? — powtórzył Stefan. — Nie znam żadnego doktora, to chyba jakaś pomyłka.

Loniek poruszył łopatkami, jakby go coś ugryzło.

— Żadna pomyłka. Nie mam głowy do nazwisk, ale imię zapamiętałem. Nazywasz się Stefan, zwiałeś wczoraj z domu, i zabrałeś tatusiowi różne pamiątkowe drobiazgi. Zgadza się?

C. d. n.

Tylko w niedzielę

Goście motelu „Pestiljon" w Arhem (Holandia), w jedną z jesiennych niedziel przeżyli nie lada emocję. Otóż poczuli się nagle jak w krainie liliputów, ponieważ obsługiwał ich mini-personel. Począwszy od szatniarzy i recepcjonistów, poprzez kucharzy, aż do kelnerów, wszyscy pracownicy motelu byli dziećmi.

Tajemnica wyjaśniła się po rozmowie z szefem motelu, który opowiedział o swoim pomyśle zaangażowania (tylko na jedną niedzielę) dziecięcego personelu.

Dzieci przystały na tę propozycję z entuzjazmem, przez cały tydzień przygotowywały się do pełnienia nowej roli (oczywiście wieczorami po odrobieniu lekcji). Wystartowały w niedzielę i wszystko udało się znakomicie, bez żadnych niepowodzeń.

Motelowi goście orzekli, że dawno już nie byli tak uprzejmie i z wdziękiem obsługiwani, jedzenie nigdy przedtem nie było tak smaczne i gorące, a rachunki tak skrupulatnie sprawdzone. (jk)

HANNA CUDOWSKA

A jednak siły dało...

C. d. ze str. 1

Bajki ze słomy

Pochyleni nad stołami chłopcy pilnie pracowali. Wszystkie lekcje odrobione, można spokojnie posiedzieć. W sali ciepło, przytulnie. W kącie wychowaczyni czyta najmłodszym bajki. Maluchy w zasadzie powinny już spać, ale bajka taka ciekawa... Starsi udają, że nic ich to nie obchodzi, ale też jednym uchem słuchają. Panuje absolutna cisza. Dobrze się człowiek czuje w takim bajkowym świecie.

Na stołach leżą wypalane w drzewie obrazki, malowane talerze, wisiorki z cienkiego druciku, wyszywane pięknie serwety o motywach ludowych. To wszystko ich własna praca.

Kilku chłopców skupiło się wokół Władka, który prostuje delikatnie barwne pasemka słomy i dobierając odpowiednie kolory wykleja coś na czarnym kartonie.

— Co to będzie? —pytają.

— Chopin. Widziałem taki obrazek, jak byłem z mamą w Warszawie. Pomnik Chopina w Łazienkach.

— Ee tam! Jakiś smutny ci wychodzi i tutaj krzywo.

— Kiedy on naprawdę tak wygląda.

— Chłopaki — rzuca któryś pomysł — a gdyby tak zrobić do sal dla maluchów cały komplet takich obrazków z motywami bajek? A może takie obrazki dałoby się nawet sprzedać?

Eksperymenty na głowach kolegów

Wychowawca prawie zaniemówił na widok Cześka.

— Jak ty wyglądasz, kto cię strzygł?

— Mnie pan dyrektor kazał, i to koniecznie na dzisiaj. Jurek powiedział, że on umie i że nie będę musiał chodzić do fryzjera. Ale chyba będę musiał?

— Wychowawca z trudem powstrzymywał śmiech.

— Dobrze, od jutra domorośli fryzjerzy będą chodzić do zakładu fryzjerskiego w mieście na praktykę. Popatrzą sobie, nauczą się, i dopiero wtedy będą eksperymentować na głowach kolegów.

Zgłosiło się trzech chętnych. Musieli mieć chyba duże zdolności w tym kierunku, bo po czterech miesiącach już prawie wszyscy chłopcy z zakładu strzygli się na miejscu. Koledze łatwiej przecież wytłumaczyć, żeby nie obciął za krótko, tylko tak w sam raz. Komu by się chciało chodzić teraz do miasta i czekać w kolejce u fryzjera.

Klęska hodowlana

Po tych witaminach cztery króle zdechły. — Andrzej był zrozpaczony.

— Dobrze, że tylko w jednej klatce dałem, bo wszystkie by wyzdychały. Coś mnie tknęło, żeby sprawdzić. A miały mieć lśniące futro! Wczoraj zabrałem buteleczki do sali i postawiłem na szafce nocnej. Chyba lekarstwa nie mogły się popsuć. Zobacz, czy dobre?

— O rety! Wiesz, co to jest? To nie żadne witaminy, to jakieś chemikalia, pewnie Zbyszka. On trzyma te swoje próbki w buteleczkach po lekarstwach, żeby nikt się go nie czepiał, że przynosi to świństwo do sali. A ty głupi jesteś, witaminy od takiego świństwa nie odróżnisz?!

— Kiedy ja nigdy nie chorowałem, nawet kataru nie miałem. Co teraz będzie, cztery króle zdechły! — Andrzej o mało się nie rozpłakał. — Dopiero zaczęliśmy i już straty.

— Nic się nie martw — pocieszał go Tadek. Słyszałem, że króliki strasznie szybko się mnożą.

A teraz w drogę!

Chłopcy siedzą nad mapą i planują trasy wypraw rowerowych.

— Zaczniemy wczesną wiosną, jak tylko ziemia obeschnie. Trzeba dokładnie poznać okolicę. Na początek, co niedziela rajd 20—30 km. A w lecie można by zrobić wędrowny obóz rowerowy...

Nikt już dzisiaj nie mówi, że to bujda i że się nie uda. Na koncie spółdzielni uczniowskiej Państwowego Domu Wychowawczego w Mławie figuruje ponad 20 tysięcy złotych. Będzie za co kupić rowery i sprzęt fotograficzny. Ale na tym nie koniec. Chłopcy zachęceni powodzeniem chcą rozbudować wszystkie sekcje. Jest ich w tej chwili pięć: hodowlana, uprawy działki, handlowa, zbieractwa i fryzjerska. Wszystkie ze sobą współpracują.

Sekcja uprawy działki dostarcza paszę dla sekcji **hodowlanej**, która wiosną będzie miała 500 królików. Świeże warzywa w internatowej stołówce również pochodzą z działki.

Sekcja handlowa zajmuje się sprzedażą wszystkich wytworów uczniowskich: wyszywanych serwet, wisiorów, obrazków ze słomy itd.

Zbieracze pilnują, żeby się nic w zakładzie nie zmarnowało. Butelki, makulatura, puszki po konserwach — wszystko bardzo szybko znajduje się w składnicy odpadków.

Sekcja fryzjerska dba o przyzwoity wygląd wszystkich członków spółdzielni, a zarobione przy okazji pieniądze przekazuje do spółdzielczej kasy.

Oprócz tego cały zakład brał udział w akcji zalesiania i w wykopkach. To również przyniosło spory dochód. Spółdzielcy pracują sprawnie i z entuzjazmem. To duża frajda wyjechać na rajd rowerowy i wiedzieć, że to za własne, zarobione pieniądze. Trzeba było tylko uwierzyć w swoje siły. Dzisiaj członkami spółdzielni uczniowskiej są wszyscy wychowankowie zakładu

Foto: K. Adamowski

Tropikalne ryby na Syberii

W jednym z dopływów syberyjskiej rzeki Angary żyją ryby tropikalne. Dopływ ten powstał przed kilku laty po wybudowaniu elektrowni i tędy właśnie odprowadza się do Angary ciepłą wodę.

Do ciepłego potoku wpuszczono kilkanaście okazów akwariowych ryb tropikalnych, które rozmnożyły się do tego stopnia, że dziś można je łowić dosłownie setkami. Mimo syberyjskich mrozów ciepły potok nigdy nie zamarza i tropikalne ryby znakomicie znoszą rosyjską zimę. (jk)

Zbieracze pilnują, żeby nic się nie zmarnowało.

Te wszystkie cuda zrobili chłopcy w czasie wieczornych zajęć.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 4765 A-66

ZEMSTA RODU KABUNAURI

Odcinek 6.

Niko, wychowany jako radziecki pionier, nie mógł pojąć okrutnych obyczajów Chewsurów. Matka i siostra Mzekoło przyjęły go serdecznie, zaś mieszkańcy aułu patrzyli nieufnie, nie czuli w nim prawdziwego Chewsura. Ta nieufność ciążyła mu bardzo. Postanowił coś zrobić, aby zasłużyć sobie na ich uznanie.

wg powieści H. BOBIŃSKIEJ, oprac. B. TYLICKA, rys. JAN ROCKI

W PAŁACU NA FONTANCE

Pałac Pionierów imienia Żdanowa w Leningradzie jest jednym z najstarszych w ZSRR. Otwarto go w 1937 roku, w dawnym pałacu carskim na Fontance.

W ciągu roku szkolnego Pałac odwiedza około miliona pionierów i uczniów. Ponad 10 tysięcy młodzieży uczęszcza na zajęcia 600 kółek zainteresowań. Pałac posiada 20 klubów, w tym automobilistów, geologów, klub literacki i inne. Jest także teatr, który dał już przeszło 30 przedstawień.

W klubie kosmonautyki odbywa zajęcia ponad 200 uczniów. Uczą się kierowania samolotem, zapoznają się z teorią lotów kosmicznych, astronomią, radiotechniką. Honorowymi członkami klubu są kosmonauci radzieccy, którzy często zaglądają do Pałacu Pionierów.

W międzynarodowym klubie „Przyjaźń" młodzież uczy się języków obcych i koresponduje z rówieśnikami z zagranicy. Kartoteka klubu zawiera adresy korespondencyjnych przyjaciół z 72 krajów. (jk)

Na zdjęciu — radziecki pilot-kosmonauta Władimir Szatałow odwiedził członków klubu młodych kosmonautów w Pałacu na Fontance.